



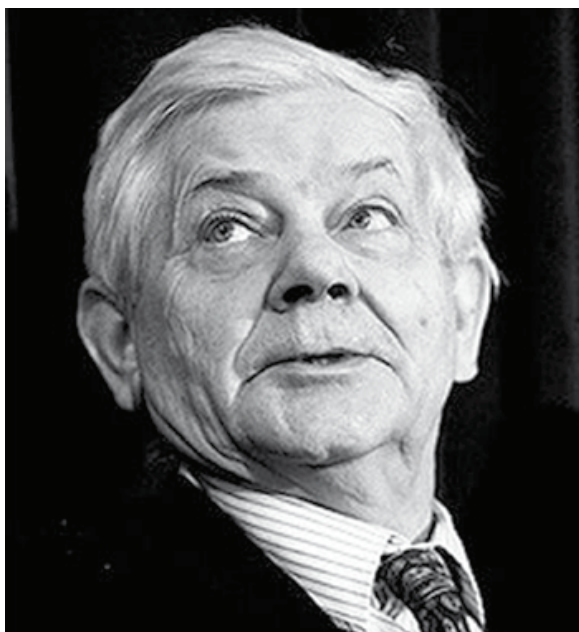
Paulina Małochleb  
**Święta kradzież**

**Zbigniew Herbert,  
Stanisław Barańczak  
Korespondencja 1972–1996**

Fundacja Zeszytów Literackich,  
Warszawa 2005

**Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz  
Korespondencja**

Fundacja Zeszytów Literackich,  
Warszawa 2006



Z korespondencji zawsze wyłania się inny obraz autora niż ten, który znamy z jego twórczości – prawidłowość ta, choć pozornie banalna, ciągle przyciąga do czytania cudzych listów. W przypadku Zbigniewa Herberta także znajduje ona potwierdzenie.

W tych dwóch tomach korespondencji Herbert przyjmuje zupełnie różne role: w stosunku do Miłosza jest uczniem, w stosunku do Barańczaka – mistrzem. Wobec obu poetów jednak gra – przyjaźń i pokrewieństwo „zawodowe” sprawiają, że inne role mnożą się, zmieniają poziomy komunikacji, nadają kolejne etykiety. Herbert w korespondencji ujawnia swoje różne oblicza – wybitnego twórcy, ale też człowieka targanego napadami melancholii i zniechęcenia, klasyka i ironisty, erudyty i hedonisty, estety i alkoholika.

Z Miłoszem Herbert korespondował, gdy przebywał na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych, z Barańczakiem początkowo w kraju, szybko jednak także tylko za granicą. Miłosz pobudził go do poszukiwania własnej drogi,

wymuszał wysiłek intelektualny i rozwój, listy do Barańczaka z kolei stanowią niezwykły zapis autorefleksji poetyckiej, pogłębionej lektury samego siebie.

### Święta kradzież

Herbert poznał Miłosza w 1958 roku, w czasie swojej pierwszej podróży zagranicznej, już po debiucie. Było to jednak spotkanie młodego poety z uznanym twórcą, co więcej – z dysydem politycznym. Znajomość szybko przerodziła się w bliską przyjaźń: Herbert uznał w Miłoszu mistrza, dedykował mu *Tren Fontynbrasa*. Miłosz z kolei w listach często nazywał go familiarnie „Kicią”. Herberta zaliczano do najwybitniejszych uczniów Miłosza, szukano w jego poezji dowodów wpływu, śladów myśli i estetyki Miłosza (Jerzy Kwiatkowski w 1980 roku pisał, że Herberta inspirował przede wszystkim „Miłosz inny, nie: katastrofista czy eschatolog, lecz: z jednej strony ironiczny, a zarazem bezkompromisowy moralista, ze strony drugiej – Miłosz odwróconych przymierzy, klasycysta, poeta dystansu, stylizator,



przyjaciół poezji anglo-amerykańskiej”). Herbert zawdzięczał Miłoszowi zaistnienie na Zachodzie, bo ten tłumaczył wiele jego wierszy, poczynawszy od 1968 roku, kiedy wydał *Zbigniew Herbert Selected Poems*, tom wprowadzający polską poezję na rynek amerykańskiej literatury. Jednocześnie jednak zależność ta nie była jednostronna – Miłosz w latach 60. funkcjonował bardziej jako tłumacz, krytyk, badacz, autor tomu *Post-War Polish Poetry*, w którym prezentował najważniejszych jego zdaniem twórców. Po latach sam Miłosz przyznawał (w rozmowie z Aleksandrem Fiutem), że Herbert jest „najbardziej przetłumaczalny” z poetów powojennych.

Jak pokazuje tom przygotowany przez Barbarę Toruńczyk, obu poetów łączył przede wszystkim bardzo krytyczny stosunek do rzeczywistości – obaj ostro i bez złudzeń oceniali PRL, obaj też traktowali Zachód jako pewnego rodzaju mniejsze zło, nie byli nim zaślepieni. Dla Herberta wyjazdy na Zachód wiązały się przede wszystkim z szansą na spokojną, skupioną pracę.

Otoczająca go kultura dostarczała tematów i nie powodowała wstrząsów, jak działo się to zawsze w Polsce, nie wymagała zaangażowania politycznego, pozwalała swobodnie oddychać. Jednocześnie jednak obaj poeci, przebywając na Zachodzie, ciągle czuli się tam obcy. Miłosz silnie przeżywał swój pobyt w Berkeley, uznając je za więzienie, Herbert zaś, pomimo częstych wyjazdów, nie zdecydował się nigdy na emigrację. W czasach najbardziej betonowego komunizmu obaj też źle znosili lewicowość zachodnich intelektualistów, widzieli w niej przejaw co najmniej naiwności politycznej. Z wyższością wynikającą z przekonania, że doświadczyli na własnej skórze najbardziej bolesnego wymiaru historii, oceniali postawę cudzoziemskich twórców: „Zaproponowano mi podpisanie protestu przeciwko chamskiemu wyrokowi na Siniawskiego i Daniela. Odmówiłem. W Polsce bym oczywiście podpisał, tutaj nie, żeby nie dawać austriackim kolegom (którzy są dla mnie b. sympatyczni) poczucia że »idziemy razem«. Zachód powinno stać

na jakieś bardziej zdecydowane kroki niż apele i protesty. Sygnatariusze tychże czują się niezwykle podniosłe i dumnie, że robią historię” – pisał Herbert oschle i dość chyba niesprawiedliwie. Jednocześnie jednak, uwzględniając kontekst epoki i perspektywę świadomości poety, jakim był wtedy – barbarzyńcy odciętego od kultury przez żelazną kurtynę, sądy te wydają się uprawione, wyrastały bowiem z jałtańskiej zdrady, której Herbert doświadczył bezpośrednio, gdy musiał opuścić Lwów, swoje miasto rodzinne. Tę krytykę podzielał też Miłosz – wieczny socjalista. Z rozczarowaniem przyglądał się wewnętrznej polityce amerykańskiej, posunięcia lewicy, tej niekomunistycznej, z którą sympatyzował, wydawały mu się niewystarczające: „Ameryka niemożliwa do zaakceptowania, jako monolit, samoczynna cybernetyczna bestia”.

Miłosz nie czuł się na Zachodzie dobrze, podkreślał sztuczność stosunków społecznych, ich konwencjonalność i swoją zależność od układów towarzyskich: „[...] jestem człowiek, który swoją gwałtowność tak długo musiał hamować, że milczący uśmiech przyrósł mi do twarzy”. Choć dzięki emigracji zyskał wolność wyrażania myśli, nie był w stanie wyzwolić się od ról, które mu narzucono: „[...] profesor w Berkeley, poeta *non-person* w Polsce i postać niemal legendarna, autor *The Captive Mind*, wstrętny dla Free Europe, trefny dla polskiej sekcji kanadyjskiego radia np. bo emigrant, pomijany tam i ówdzie żeby nie zantagonizować Wwy, na Zachodzie Polak niewarszawski czyli dużej i reakcjonista”.

Nie zgadzali się też ze sobą w wielu kwestiach: Miłosz interesował się beatnikami,

doceniał znaczenie *Skowytu* Ginsberga, a Herbert – choć należał do tego samego co oni pokolenia, sprzeciwiał się ich krytyce społeczeństwa kapitalistycznego, uznając, że to właśnie ono pozwala im funkcjonować i pisać krytycznie. Herbert nie rozumiał Miłoszowego zainteresowania Rosją, pisał z pasją: „[...] jeśli w Tobie czegoś nie lubię to tej Twojej fascynacji Rosją, która jest dla mnie wielkim gównianym stepem z paroma prorokami”. W takim sposobie patrzenia ujawniał się polski kompleks, rzutu na powtarzanie wciąż tego samego stereotypu. Herbert nie dostrzegał bogactwa kultury rosyjskiej, które tak interesowało Miłosza; jemu rosyjskość kojarzyła się tylko z przemocą i uciskiem. Na ostrej opozycji między barbarią wschodnią i zachodnim ogrodem kultury budował też swoją twórczość, skłaniając się zdecydowanie ku obszarowi śródziemnomorskiemu. Przypisywał Europie pewien zasób wartości niezbywalnych, trwałych: „Europejczycy dla mnie to słowo nie straciło znaczenia”.

Bliska przyjaźń zakończyła się jednak w 1968 roku – w korespondencji scena zerwania nie jest w żaden sposób przywoływana, widać jednak jego konsekwencje w chłodniejszym tonie, jakiego obaj później używają. Brak już wcześniejszej szczerości, intelektualnych zwierzeń czy skandalizujących doświadczeń. Według Herberta, awantura była wynikiem prowokacji Miłosza, który stwierdził, że Polskę powinno się wcielić do Związku Radzieckiego. Zdaniem Miłosza zaś, to Herbert po suto zakrapianej kolacji rozpoczął długi monolog na temat braku patriotyzmu przyjaciela oraz jego haniebnego

zachowania w czasie wojny (chodziło mu przede wszystkim o to, że Miłosz przyjął paszport litewski). Jeszcze inne przekazy mówią (powtarzane przez Joannę Siedlecką w biografii Herberta), że przyczyną sporu były ich różne oceny powstania warszawskiego: Miłosza naturalnie krytyczna, Herberta – gloryfikująca. Z czasem ich spór stopniowo łagodniał, choć oni sami nie byli już nigdy bliskimi przyjaciółmi. Spór przeniósł się – jak wskazuje Andrzej Franaszek – na poziom refleksji o narodowej tożsamości. Stefan Chwin w konflikcie tym widział w ogóle odzwierciedlenie pojałtańskiego kompleksu świadomości narodowo-patriotycznej Polaków. Herbert był bliżej tradycyjnego modelu patriotyzmu, wierzył też w patos, uprawiał rodzaj egzaltacji polską historią. Tymczasem wszystkie te kategorie były głęboko obce Miłoszowi, ciągle nieufnemu, gotowemu do poszukiwania sprzeczności, wskazywania słabych punktów mentalności polskiej. Obaj byli też doskonale świadomi dzielących ich różnic – Miłosz charakteryzował poezję Herberta jako „poezję imponderabiliów, poezję z jednym absolutem – ojczyzny. Ojczyzny, obowiązku i honoru”, sam zaś nie ustawiał tych pojęć w centrum, nie traktował jako osi, wokół której należy budować światopogląd.

Ta korespondencja pokazuje, jak obaj walczyli z Zachodem, a równocześnie użerali się z polskością, szukali dla siebie w jej ramach jakiś ról, tożsamości, która pozwoliłaby im czuć się częścią tej grupy narodowej, ale jednocześnie dawałaby inną pozycję, przesuwałaby na zewnątrz zbiorowości. W 1967 roku Herbert pisał: „Polska jest 1000-letnim niemowłębem

(millenijny bobas) bez rysów, bez kształtu, bez formy z jakąś tylko potencjalną metafizyką (ani heretyków, ani metafizyków, ani inkwizytorów) potencjalną misją i doświadczeniem nieprzetrawionym”. Rozgoryczony rozmowami, które prowadziła z nim Służba Bezpieczeństwa – stwierdził w końcu: „Naród poetów i ubeków”. Zaznaczał też: „Co myślę o Polsce? Myślę podobnie jak Ty, bo nie jestem z tym krajem (jeszcze mniej niż Ty) związany wspólnotą krwi. Ale ta *Erde (ohne Blut)* jest moja, jak zaraza albo choroba weneryczna i żeby nie wiem jak podskakiwał nie wyzwolę się od tego”. Widać więc wspólne z Miłoszem nastawienie krytyczne, ale rysuje się tu równocześnie myśl o tragicznym związaniu z niewymarzoną ojczyzną, które w przyszłości przekształciło się w jej pełną akceptację (i odrzucenie przekonania o własnej obcości). Takiej ewolucji zaś – jak wiemy – Miłosz nigdy nie przeszedł. Stopniowo też rozchodziły się tu ich drogi – Herbert zmierzał ku akceptacji tożsamości, Miłosz gawitował ku jej maksymalnemu rozszerzeniu, pisał o sobie jako o obywatelu świata.

Jak podkreśla Chwin, spór między poetami w którymś momencie musiał się ujawnić, dzieliła ich bowiem ideologiczna i światopoglądowa przepaść – Herbert miał radykalnie inną wizję polskiej kultury i jej roli niż Miłosz. Młodszy poeta wierzył w pewnego rodzaju „patriotyzm straceńczej śmierci” (określenie Chwina), Miłosz krytykował wielokrotnie romantyczne mity i odmawiał racji powiązanym z nimi metafizycznym interpretacjom dziejów.

O wpływie Miłosza na Herberta pisać można dużo, to temat na książkę. Tutaj

warto jednak wspomnieć o tym, że młodszy poeta doskonale zdawał sobie sprawę z siły oddziaływania Miłosza, że dobrowolnie się jej poddawał. Skamandryci nie zrobili na nim wrażenia, ale chłonał już poezję katastrofistów z lat 30., po wojnie przeżywał lekturę *Ocalenia*. Czytanie Miłosza uświadomiło młodziutkiemu Herbertowi, że „poezja także jest terenem do myślenia”. Zatem właściwe jego sztuce ciążenie ku intelektowi, poszukiwanie poetyckich ról, by wyrugować subiektywizm i wprowadzić znamiona „poezji obiektywnej” ujawnia się tutaj jako element odziedziczony, przejęty od Mistrza. Miłosz wydaje się Herbertowi odkrytym skarbem, czymś własnym. Kolejne pokolenie jednak także odkrywa i zawłaszcza Miłosza. To jest właśnie „święta kradzież”, o której pisze Herbert: „Oni [Bierezin i Zagajewski – przyp. moje, P.M.] ukradli mi wszystkie wiersze [...]. Ukradli, ale uważam, że to jest święta kradzież, to znaczy im to było potrzebne do nauczania się”.

Jednocześnie jednak korespondencja między poetami pokazuje ich jako ludzi – z ich obsesjami i wrażliwością, z całym wymiarem fizycznym. Zwierzają się sobie z kłopotów w zrywaniu z nałogiem: „Z paleniem — jak słusznie zauważyłeś, bardzo trudno skończyć. Siedzę tedy w błękitnym dymie, w dużym jasnym pokoju”. Ostrzegają nawzajem przed nadmiernym piciem: „Trzymam się, raz tylko poszedłem ostro na alkoholowe dno”, wyznaje po śmierci szwagra Herbert. Zwierzają ze swoich złych nastrojów: „Literatura mi brzydzie” – pisze Herbert w 1966 roku, by w następnym liście stwierdzić wprost: „Ja trwam w surowej i zrównoważonej rozpaczy”. Miłosz rewanżuje się podobnymi

wyznaniami: „Przypuszczam jednak że jestem z natury piekielnie zdrów i muszę swoje psychiczne bóle rozwiązywać inaczej”. Pokazują się od strony ludycznej, w korespondencji odzwierciedla się ich poszukiwanie ulgi. Herbert pisze autoironicznie: „[...] jak wiesz mam pociąg do klasycyzmu więc kiedy spotkałem marynarzy z Pireusu w Ravennie piliśmy aż do zamknięcia baru a potem zaciągnęli mnie na statek gdzie zalewamy się koszmarnie whisky + ouzo”. Z tych listów widać więc wyraźnie, że Zachód to przestrzeń, gdzie Herbert może głębiej oddychać, a równocześnie to miejsce dojmującego uświadomienia sobie rozmiarów opresji, szarości i beznadziei PRL-u.

### Linneusz i żaba

Korespondencja z Barańczakiem nie stanowi zapisu takich silnych emocji, jak ta z Miłoszem. Herbert ujawnia się w niej jednak jako poeta skupiony na swojej twórczości, mówiący o niej, odwołujący się też do własnej biografii. O ile listy do Miłosza służyły Herbertowi do budowania siebie, o tyle pisaniu do Barańczaka często towarzyszyła intencja porządkująca – stąd właśnie warstwa autorefleksyjna, odwołanie autobiograficzne.

Listy te uwidaczniają bolesny upływ czasu. Początkowo Barańczak pojawia się tylko w roli ucznia, dziękuje Herbertowi za możliwość drukowania go w poznańskim „Nurcie”. Później jednak staje się równym partnerem w poetyckim dialogu, podejmuje dyskusję o gustach, ulubionych twórcach, przesyła swoje tłumaczenia z języka angielskiego. Ich listy ukazują sympatie i antypatie Herberta dotyczące poezji obcojęzycznej („poezja Larkina

podoba mi się ogromnie, ten rodzaj szarości, który dotyka metafizyki [...]. Natomiast nie mam wielkiego nabożeństwa do baby Dickinson”). Obaj piszą o tym, jak układają sobie życie na Zachodzie – Barańczak wyjeżdża w 1981 roku, by objąć katedrę uniwersytecką w Ameryce, Herbertowie w 1986 roku przeprowadzają się na parę lat do Paryża. W ten sposób obu udaje się „odsapnąć w pełnym wiadomych miazmatów powietrzu burżuazyjnej demokracji” – jak kwituje zmianę Barańczak. W końcu zaś tematem głównym staje się ich stan zdrowia i choroby. Barańczak cierpi na zespół Parkinsona, Herbert – na rozedmę płuc. Bolesna ironia życia widoczna jest w ostatnim liście, z października 1996 roku, w którym Herbert pisze o niedawnej śmierci Woroszylskiego i zapowiada śmierć ciężko chorego Międzyrzeckiego: „Reszta jest milczeniem i nie nadaje się do opisu. Literatura jest nędzną płaczką”. Jednocześnie sam stara się trzymać fason: „Ja sam jestem podłączony do aparatu ważącego ponad 30 kg, co bardzo utrudnia wspinaczkę na K2”.

Drugi biegun tej korespondencji stanowią raporty na temat życia konspiracyjnego w PRL-u, w którego nurt obaj poeci się włączają. W ich listach powraca poczucie zdławienia, duszenia się w gęstej atmosferze politycznej, przygniecenia nudą życia codziennego, beznadziejnością i brakiem perspektyw. Herbert pisze o tej sytuacji z ironią, spoza której przeziiera jednak zniechęcenie: „U nas – [...] chciałoby się rzecz, powolutku, ale trudno zdobyć się na chłopską cierpliwość. Równia pochyła: ruch jednostajnie przyspieszony”. Dopełnieniem tego obrazu jest prośba Herberta, by Barańczak starał

się pisać do Michnika, na Mokotowską, czyli do więzienia.

Po wyjeździe Barańczaków do USA to Herbert między innymi dostarcza mu informacji na temat spotkań opozycjonistów, reakcjach społecznych, wydarzeniach politycznych. Zupełnie już nie widać dawnego dystansu i zwątpienia, jakie Herberta żywił w stosunku do ojczyzny, pisząc do Miłosza w latach 60. Teraz zwraca się on w przeciwną stronę, angażuje w ruch, publikuje w „Zapisie”, spotyka się z jego autorami i redaktorami, namawia Barańczaka, by pisał do uwięzionego Michnika, sam też przesyła na Rakowiecką swoje listy; wierzy w figury zbiorowej wyobraźni: „Ja natomiast z opaską na rękawie spełniałem niewdzięczną funkcję porządkowego i odpędzałem pielgrzymów od Wałęsy” – raportuje Herbert po uroczystej rocznicy poznańskiego Czerwca w 1981 roku.

Barańczak odgrywa w tej korespondencji trzy role – poety, ucznia Herberta, tłumacza. Skupia się ona zatem na poetyckich kwestiach, często na rozważaniach warsztatowych. Listy z lat 80. stanowią zapis popularności Herberta na Zachodzie po ukazaniu się tam *Raportu z obłęzonego miasta* i *Barbarzyńcy w ogrodzie*. Jednym z akuszerów sukcesu był Barańczak, który publikował teksty krytyczne, tłumaczył też Herberta do spółki ze swoją studentką Clare Cavanagh, a w końcu wydał anglojęzyczną wersję *Uciekiniera z Utopii*.

Tymczasem Herbert-mistrz, autorytet dla młodszego twórcy, bohater jego książki krytycznej (właśnie *Uciekinier z Utopii*) przybiera w listach postać skromnego prostaczka. Barańczaka przedstawia jako Linneusza dokonującego sekcji, siebie – jako żabę rozczłonkowską

przez badacza. Za tą grą kryje się jednak prawdziwa wdzięczność autora zmęczonych błędnymi interpretacjami. Linneusz-Barańczak, ze względu na własne zatrudnienia poetyckie, okazuje się tu bowiem krytykiem bardziej spostrzegawczym, sięgającym głębiej, widzącym wyraźniej niż inni: „Żaba jest ci wdzięczna, żeś zechciał wyjaśnić jej niejasną anatomię, fizjologię i kumkanie. W szczególności żaba jest wdzięczna, żeś ją wyprowadził z pustyni »klasycystów«, przywrócił wyobraźnię zmysłową, zauważył jej (żaby) niechęć do moralizatorstwa, nienawiść do utopii, a także usytuował trafnie między biegunami dziedzictwa i wydziedziczenia”. „Żaba” w kolejnych listach wyjaśnia zawiłości swojej biografii, prostuje pewne mity, pisze w końcu list otwarty, którego adresatem jest Barańczak, a który stanowi oschły, ale kompletny życiorys.

Książka Barańczaka ukazała się w 1984 roku, w czasie gdy twórczość Herberta stanowiła pożywkę dla publicystyki antykomunistycznej, tuż po stanie wojennym, kiedy zupełnie zapoznano jej warstwę ironiczną, podkreślając głównie patos. Barańczak zaś przywraca tej poezji całe jej skomplikowanie, widzi kwestie nierozstrzygalne, przypomina, że jest to poezja dwubiegunowa.

### Literatura mi brzydnie...

Z listów Herberta do Miłosza i Barańczaka wyłania się konkretna mapa literacka – Herbert krąży po Europie, dwaj egzulowie żyją tylko na wygnaniu. W korespondencji Miłosza i Herberta z lat 60. widać jeszcze ich słabą pozycję, zabiegania o przekłady, stypendia. Herbert wielokrotnie zaznacza, że trasa jego wyjaz-

dów powstaje na podstawie zaproszeń na płatne spotkania i wykłady: „Niestety w Londynie [...] będę musiał siedzieć jeszcze co najmniej miesiąc bo kręcę interesy z BBC, żeby zarobić trochę grosza”. Poeci sami zabiegają o uwagę tłumaczy: Herbert rozsyła teksty, prosi Miłosza, by go przekładał. W latach 70. sytuacja się zmienia – młody Barańczak traktuje Herberta jak mistrza, prosi, by ten pozwolił się drukować w „Nurcie”, w latach 80. zaś piszą już o nominacjach do nagród, o zasiadaniu w jury międzynarodowych konkursów. W 1990 Herbert i Barańczak dyskutują o publikacji wierszy autora *Pana Cogito* w „New York Review of Books”.

Korespondencja pokazuje stopniowe „uklasycznianie” się Herberta, jego drogę od młodego, zbuntowanego i pijącego tańce wino poety do pozycji twórcy uznanego i głośnego. Tylko młody Herbert może napisać zdanie: „[Allen Ginsberg] namawiał mnie na haszysze i orgie, ale jestem barbarzyńca i wystarczą mi D.W.P (dziwka, wódka i papierosy)”. Stary Herbert nie pozwala już sobie na takie uwagi, choć dalej ostro i z ironią komentuje różne sytuacje, w które wrzuca go życie.

Wszyscy trzej poeci ujawniają się tutaj jako niezwykle silne osobowości, poszukują wzajemnie w twórczości swoich korespondentów tego, co ich łączy, a co po latach Barańczak-krytyk opisał w *Tablisy z Macondo* jako zjawisko „ironicznego moralizmu”. U każdego z nich wyraźnie bowiem zarysowuje się ciążenie ku ironii czy zwątpieniu, które jednak nigdy nie prowadzi do nihilizmu.

[W tekście zachowano oryginalną pisownię i interpunkcję autorów].

**Paulina Małochleb**